

Zwrot antyislamski

Jeśli ta diagnoza jest trafna – to znaczyłoby, iż rysuje się przed nami perspektywa przełomu historycznego, który cofnie wkrótce politykę na naszym kontynencie o trzy stulecia: do czasu sprzed pokoju karłowickiego, kończącego kilkuwiekową epokę zmagania z islamem – pisze w najnowszym felietonie Jan Rokita.

Partia Szwedzkich Demokratów, na której głosach w Riksdagu trzyma się rząd szwedzki, żąda nie tylko zakazu budowy w kraju nowych meczetów, ale także zajmowania przez państwo i wyburzania istniejących, skoro stały się one ośrodkami nieprzyjaznej względem Szwedów propagandy.

Szwedzcy Demokraci dopiero co obwieścili takie żądanie podczas swego partyjnego kongresu. Ich lider Jimmie Åkesson otwarcie mówi o tym, że z krajobrazu szwedzkich miast powinny zniknąć minarety, kopuły oraz półksiężycy, gdyż świadczą one o próbie dominacji imigrantów z Bliskiego Wschodu nad Szwedami. I zapowiada, że obecny liberalno-konserwatywny rząd Szwecji stworzy już za moment najbardziej antyimigrancki system prawny w Europie, po to właśnie, by móc przystąpić do deislamizacji kraju.

Holenderska Partia Wolności, która właśnie wygrała wybory, i to z dużą przewagą nad całą resztą tamtejszego peletonu politycznego, nie kryje się już z przekonaniem, że islam – to „religia zacofana”, która wytworzyła kulturę „opóźnioną w rozwoju”. Przywódca zwycięskiej partii Geert Wilders, którego oskarża się (zgodnie z panującą modą) o uprawianie tzw. „mowy nienawiści”, tłumaczy swoją postawę w taki oto sposób zaskoczonemu redaktorowi lewicowego „Guardiana”: „Nie propaguję nienawiści. Chcę być szczerzy: nie nienawidzę ludzi, nie nienawidzę muzułmanów. Nienawidzę ich księgi i ich ideologii”. Partia Wolności, która w dziedzinie praw człowieka i obyczajów jest ultrapostępowa (geje, narkotyki, aborcja etc.), kwalifikuje Koran jako faszystowską propagandę. I ma ambicję, aby nie tylko ograniczyć wolność religijną muzułmanów w Niderlandach, ale na arenie międzynarodowej postuluje wysiedlenie palestyńskich muzułmanów z Palestyny i osadzenie ich na terenie Jordanii.

Z kolei brytyjski rząd konserwatywny jest zdeterminowany, aby imigrantów, którym udało się nielegalnie dobić do wybrzeża Anglii, odsyłać do obozów na terenie Rwandy, i to mimo że angielski Sąd Najwyższy sprzeciwił się takiej polityce. Co prawda, argumentując na rzecz takiego rozwiązania, przywódca torysów premier Sunak nie mówi wprost o krokach skierowanych przeciw muzułmanom, ze względu na silny respekt na Wyspach dla politycznej poprawności (w końcu przecież muzułmanami są czołowi politycy brytyjskiej lewicy: burmistrz Londynu i premier Szkocji). Ale już usunięta ostatnio ze stanowiska szefowa MSW pani Braverman, sama pochodząca z hinduskiej rodziny imigrantów z Afryki, była w tej mierze bardziej bezpośrednia, przekonując, że liczba islamskich przybyszów „stanowi zagrożenie dla narodowego charakteru Wielkiej Brytanii”.

To tylko trzy świeże przykłady na to, co wygląda na początek zwrotu antyislamskiego w polityce europejskiej. Jeśli ta diagnoza jest trafna – to znaczyłoby, iż rysuje się przed nami perspektywa przełomu historycznego, który cofnie wkrótce politykę na naszym kontynencie o trzy stulecia: do czasu sprzed pokoju karłowickiego, kończącego kilkuwiekową epokę zmagania z islamem. To, co łączy trzy przedstawione tutaj przypadki, to fakt, iż nie mamy do czynienia z jakimiś marginalnymi czy ekstremalnymi grupami politycznymi, ale z głównymi partiami europejskiej prawicy, wygrywającymi wybory, bądź uczestniczącymi we władzy. Rzecz jasna, podstawową przesłanką owego zwrotu jest nawrót afro-azjatyckiej fali imigracyjnej. I choć nie ma ona przecież charakteru czysto islamskiego, to muzułmanie są jej częścią zorganizowaną i rzucającą się Europejczykom w oczy, poprzez swoją obcość religijną, kulturową i obyczajową. Muzułmanie zachodzą Europejczykom za skórę, bo kultuwują tę swoją obcość, często nie kryjąc się z wrogością wobec krajów do których przybywają, a na dodatek konspirują i tworzą grupy terrorystyczne. Wspomniany już Wilders ujmuje to bon motem, który nieustannie przypominany jest w mediach holenderskich. Mówi z ironią: „Wprawdzie nie wszyscy muzułmanie są terrorystami, ale wszyscy terroryści są muzułmanami”.

Na to wszystko nakłada się jeszcze wybuch kolejnej wojny na Bliskim Wschodzie, który zwaśnił wewnątrz europejską lewicę, a z kolei prawicę popchnął w stronę obrony racji Izraela, przeciw Palestyńczykom, Arabom, muzułmanom. I tak pojawił się w Europie paradoks, zaprzeczający zakorzenionym od lat nawykom myślowym i stereotypom. Kiedy ostatnia akcja armii izraelskiej w Gazie wywołała falę wrogich zachowań wobec europejskich Żydów ze strony muzułmanów i aktywistów lewicowych, to w Paryżu, gdzie polityczni liderzy centrowego establishmentu nie chcieli manifestować na rzecz

Izraela wespół z izolowaną tam ciągle narodową prawicą, ta – nie tylko im na złość przyłączyła się do manifestacji, ale jeszcze buńczucznie oświadczyła, iż to nie kto inny, jak obóz Marine Le Pen jest dziś „tarczą broniącą francuskich Żydów w obliczu islamistycznej ideologii”. I tak przysłowiowi „faszyści”, przez swą rosnącą abominację do islamu, stali się filosemitami, dołączając pod tym względem do liberałów, oczywiście wbrew ich woli, albo i nawet ku ich zgrozie.

Jak zwykle jednak, ciekawsze niżli sam fakt zwrotu następującego w europejskiej polityce, okazać się jego konsekwencje. Jeśliby bowiem raptem po trzech dekadach z hakiem od triumfu liberalnej demokracji i otwartego społeczeństwa, proklamowanych po upadku Sowietów, miało się okazać, że polityki w Europie nie da się jednak prowadzić bez choćby miękkich prześladowań religijnych, to byłaby to spektakularna klęska całego tzw. „europejskiego projektu”. Nie wiem ilu muzułmanów żyje dziś w demokratycznej Europie legalnie, a ilu wegetuje jako nielegalowie, nie wiem nawet, czy istnieją takie przybliżone statystyki. Chodzi jednak z pewnością o populację wielomilionową, co więcej, jedyną w Europie znaczącą społeczność religijną, przeżywającą swoją wiarę na sposób silnie wspólnotowy, a więc separujący od świata niewiernych. A tego rodzaju wspólnota nie podda się tak łatwo żadnej polityce zmierzającej do osłabienia jej religii, nie mówiąc już o „zajmowaniu i burzeniu meczetów”, postulowanym przez Szwedów.

Jakiś europejski wariant „intifady” wydaje się więc w takim scenariuszu jedynie kwestią czasu, a stłumienie jej będzie wymagać brutalności. Państwo Izrael ma w tej materii wiedzę i duże doświadczenie. No a poza tym, napór na Europę w rezultacie takiej polityki raczej się zwiększy, stając się przy tym bardziej wrogi. Raz dlatego, że islamskie kraje śródziemnomorskie stracą rychło ochotę do „bronienia” przed

owym naporem granic nieprzyjaznej Europy, nawet za pieniądze. A dwa – bo otwarcie w Europie wymarzonego przez muzułmańskich radykałów prawdziwego frontu, ściągać tu będzie do walki islamskich ultrasów z całego świata. Więc i ochrona granic europejskich nabierze całkiem nowego, być może po prostu militarne znaczenia. W każdym razie, mając choćby w pamięci ubiegłomiesięczne proklamacje Hamasu, zaraz po ataku na Izrael obwieszczające intencję ostatecznego zainstalowania siedziby przyszłego kalifatu w Rzymie, nie kwitowałbym ich jedynie uśmiechem i wzruszeniem ramion. Bo całkiem możliwe, że już nie tylko na froncie rosyjskim, ale i na islamskim, Europie znów zagraża zły los.

Jan Rokita